

GRAHAM MASTERTON

POGRZEBANI



Rozdział 1

– Włazisz czy nie włazisz, ty durny kabanie?! – zawołał Declan.

Było jednak oczywiste, że Christy ani myśli podejść bliżej. Stał na progu, jego czarno-brązową sierść skołtunił deszcz; Declan nigdy nie widział go tak zalęknionego. Pies patrzył szeroko otwartymi ślepiami, a jego nos drgał; co jakiś czas przekrzywiał łeb, jakby usiłował zajrzeć w głąb przedpokoju i przez drzwi salonu. Jak gdyby wiedział, że jest tam coś budzącego strach.

– Declan, kuźwa! – krzyknął ze środka Colm. – Prze-stałbyś wreszcie dyskutować ze swoim kundlem o pogodzie i pomógł mi przy tym cholernym kominku.

– Tłuk z ciebie, Christy, tyle ci powiem. Chcesz tu zostać i moknąć, proszę bardzo, twój wybór. Ale jak kipniesz na zapalenie płuc, nie miej do mnie pretensji.

Zostawił psa i wszedł do saloniku; Colm właśnie oderwał od ściany obudowę kominka z brązowych kafelków i pomagając sobie łomem, próbował ją odwlec dalej. Powietrze w malutkiej izbie wypełniał pył, a zasłane okruchami zaprawy deski skrzypiały mu pod butami.

– Nigdy się tak nie zachowywał. – Declan uniósł łopatę

i wcisnął ją w szparę po drugiej stronie kominka. – Wygląda, jakby się czegoś złąkł, wiesz? Może jakiś duch tu siedzi.

– Wcale by mnie to, kuźwa, nie zdziwiło – rzucił jego kolega, szarpiąc mocno łodem to w jedną, to w drugą stronę. – Ten starszy facio, co był właścicielem, znaleźli jego trupa na dole przy schodach, tak mi powiedziała ta dziewczyna od Sherry’ego Fitzgeralda. O swojego kota się potknął, tak mówiła. Kark sobie skręcił, jakby to była łodyga, i leżał tu przez miesiąc, zanim go znaleźli.

Colm oceniał, że remont całego domu zajmie im co najmniej dwa tygodnie. Był to nieduży budynek przy Millstream Row w Blarney, jeden z jedenastu szeregowców zbudowanych w latach sześćdziesiątych XIX wieku dla przedarzy wełny z zakładu Mahony’ego.

Poprzedni właściciele, mimo że mieszkali w nim od 1952 roku, odnowili go tylko raz, kładąc na ścianach brudnobrązową tapetę w kwiatowy wzór. W 1964 postavili parterową przybudówkę na tyłach, w której znalazło się miejsce dla wanny i pralki dwukomorowej, lecz było to ich jedyne ustępstwo na rzecz modernizacji.

Po śmierci owdowiałego właściciela domek sprzedano za sto dwadzieścia trzy tysiące euro parze młodych profesjonalistów, dla których miało to być pierwsze własne lokum.

Stękając niczym dwa wieprzki pędzone kijami na targowisko, Declan i Colm wytaszczyli obudowę kominka na dwór. Christy wciąż tam siedział i mókł na deszczu, a gdy usuwał im się z drogi, otrząsnął się zaciekle.

– Wariat jesteś, wiesz? – powiedział Declan, kiedy razem z kolegą dźwignęli kominek i z ogłuszającym hukiem wrzucili go do pustego kontenera stojącego przy wąskiej drodze. – Może byś tak wszedł do środka i osuszył się, co?

Schylił się i złapał Christy’ego za obrożę, lecz gdy usiłował pociągnąć go do domu, zwierzę się zaparło i warknęło. Declan szarpnął mocniej, ale usztywnione łapy szurnęły o mokry chodnik i szczebknęły, sygnalizując, że nie chce prze-

kroczyć progu.

– No patrz na niego. – Colm się uśmiechnął. – Chyba trafiłeś z tym duchem. Co, Christy? Widzisz tam ducha w środku? Hu-huuu!

– Może zwęszył jakiś smród, który mu się nie podoba, zdechłego szczura czy coś – myślał głośno Declan. – Większość ludzi o tym nie wie, ale taki kerry beagle ma lepszy węch niż posokowiec.

– Niby tak, ale daj spokój. Ile w nim jest z kerry beagle’a, a ile z kundla przybłądy, z którym matka zaciążyła, kiedy właściciel odwrócił głowę?

– Możesz se gadać, mądrało, ale ten koleś wyczuje, jeśli ktoś pierdnie w Limerick, przysięgam na Boga – odparował Declan. – Zwęszy gotujące się mięso, zanim gaz zapalisz.

Szarpnął jeszcze raz obrozę Christy’ego, lecz pies warknął i obnażył zęby, więc Declan dał za wygraną.

– Dobra, postawiłeś na swoim. I tak ci się kąpiel należała.

Mężczyźni weszli do domu. Musieli teraz zerwać deski z podłogi w saloniku, gdyż nowi właściciele chcieli ją pokryć ręcznie drapanym wiktoriańskim dębem.

Colm zapalił papierosa i wziął trzy głębokie sztachy, po czym zgasił go palcami i zatknął niedopałek za ucho. Ujął łom i podważył nim listwę pod oknem, a potem wziął ją na ramię i wyniósł do kontenera. Declan tymczasem schylił się i chwycił odsłonięty koniec biegnącej środkiem pokoju deski; pociągał raz po raz, aż wyrwał gwoździe z legarów, szarpnął ją do góry i upuścił z trzaskiem.

Zdażył przywyknąć do tego, że pod deskami starych domów zalegają śmieci pozostawione przez budowlańców, a oprócz tego szkielety szczurów i myszy. Pewnego razu w Saorstát znalazł czarną blaszaną puszkę z trzydziestoma funtami wyemitowanymi przez Wolne Państwo Irlandzkie, poczerniałą harmonijkę ustną oraz kartę walentynkową z dedykacją „Dla najdroższej Muirgheal”.

W tym domu jednak między legarami leżało kilka roz-

rzezonych starych łachów: męski garnitur, bordowa sukienka, dziewczęcy fartuszek i różowe śpioszki. Wszystkie wyblakły, straciły barwę i pokryła je gruba warstwa miękkiego szarego kurzu, można więc było tylko zgadywać, jak długo tam leżały.

Oderwał następną deskę, a potem przy wtórze pisków gwoździ jeszcze jedną; już zabierał się do czwartej, kiedy dostrzegł dłoni wystającą z zielonego męskiego okrycia.

Długo wlepiął w nią wzrok i miał wrażenie, że kurczy mu się skóra na głowie. Ręka była sucha jak papier i niemal całkowicie płaska, ale wiedział, że jest to bez wątpienia ludzka kończyzna. Niektóre kłykie przebiły się przez wysuszoną skórę, ale wszystkie paznokcie pozostały, jakkolwiek czas nadał im barwę bursztynu.

Uklęknął, żeby przyjrzeć się dokładniej znalezisku, lecz nie zdobył się na to, by go dotknąć. Wyciągnął tylko rękę i delikatnie dotknął materiału, spod którego sterczało. Nie było wątpliwości: w rękawie tkwiły dwie patykowate kości przedramienia.

– Jezu miłosierny – szepnął.

Oddychał mocno przez nos, serce mu łomotało. Puścił rękaw i ostrożnie poklepał wierzch marynarki, jakby go otrząpywał. Wyczuł pod spodem twarde zaokrąglone kości klatki piersiowej.

Usiadł na piętach. Święta Mario, Matko Boska, jeśli w marynarce jest facet, to co jest w sukience? I w dziecięcych ubrankach?

Wciąż kucając, przesunął się bokiem do miejsca między dwoma sąsiednimi legarami, w którym spoczywała pomięta bordowa sukienka z guzikami do samego dołu. Zawahał się, bo wydało mu się niestosowne, że dotknie kobiety bez jej zgody, nawet jeśli od dawna nie żyła. W końcu jednak wyciągnął dłoni i delikatnie nacisnął materiał. Pod ufarbowanym płótnem wyczuł żebra; spoczywały jednak luźno, jakby oddzieliły się od kręgosłupa.

A więc to nie były ubrania... to były ludzkie ciała. Przed wielu, wielu laty ktoś musiał je ułożyć twarzami do ziemi i gwoździami przybić nad nimi deski. Declan nie oderwał jeszcze tylu desek, by móc zobaczyć barki i głowy, lecz doszedł do wniosku, że ukryto tam nieliczną rodzinę, składającą się z ojca, matki, córki i małego dziecka.

Wstał i otarł ręce o kurtkę z czarnego dżinsu. W tej samej chwili do pomieszczenia wszedł Colm, zapalając na nowo papierosa.

– O Jezu, ale zacina – odezwał się z głową do połowy skrytą w dymie. Zerknął na przerwę między deskami i ściągnął brwi. – Co to, kuźwa, jakieś stare łachy tam leżą?

– Nie żadne stare łachy, chłopak, tylko zwłoki. Mężczyzna, kobieta i dwoje dzieciaków, na to wygląda.

– No, chyba jaja sobie robisz – powiedział Colm, lecz kiedy kolega wskazał na suchą dłoń mężczyzny, nachylił się i spojrzał, mrużąc oczy jak krótkowidz. – Ożeż w mordę.

– Wydaje mi się, że ich zamordowano.

Colm przekroczył lukę między deskami i przykucnął, żeby zerknąć na głowy.

– Tego nie wiesz na pewno. Mogli umrzeć na gripę albo coś w tym rodzaju. Ludziska padali kiedyś jak muchy, wszyscy, bez różnicy. Najmłodsza siostra mojego staruszka umarła na wiatrówkę, jak miała tylko trzy lata. – Wyprostował się i skinieniem głowy wskazał ciała. – Może rodziny nie stać było na pogrzeb.

– E, weź przestań. Nawet jak cię nie stać na pogrzeb, nie zakopujesz, kuźwa, swoich najbliższych pod podłogą twarzami do gruntu.

– No, nie wiem. Mojego wujka Patricka pochowali tak, że leżał na lewym boku. Tak sobie zażyczył w testamencie. Serio. Powiedział, że kiedy pochowają obok ciocię Saoirse, chce na nią patrzeć.

– Że niby co, miał oczy jak rentgen? – spytał Declan. – Przez trumny widział?

– Nie marudź, przecież on nie żył – obruszył się Colm. – Romantyczny facet był, jarzysz?

– Romantyczny? Raczej mu odwaliło, i to na ostro. No, pomóż mi szarpać resztę tych desek.

Wspólnie zerwali wszystkie deski z podłogi w salonie i wynieśli je do kontenera. Skończywszy, stanęli i w milczeniu patrzyli na zwłoki spoczywające między legarami. Przestało padać i spomiędzy chmur wyrzało srebrzyste słońce; pomieszczenie wypełniło bezbarwne światło i widok przypominał prześwieconą fotografię.

Mężczyzna leżał najdalej od okna; lewa ręka tkwiła przy jego boku, prawa była zgięta, opierało się na niej jego czoło. Włosy zgęstniały od kurzu, ale nadal były kasztanowe i kędzierzawe. Kobieta miała proste, długie czarne włosy spięte brązową spinką. Dziewczynka – kasztanowe kręcone, związane wstążkami w kucyki. Ciemna kępka włosów małościwa wyglądała jak czupryna skrzata.

– Och, aż się serce ściska – powiedział Declan.

Przy wtórce okropnych piskliwych zgrzytów podważyli ostatnie dwie deski. Przestrzeń między legarami zapełniał kłęb gęstych szarych włosów, które w pierwszej chwili można było wziąć za palto lub włochaty pled. Colm podważył go łopatą, a następnie usiłował podnieść. Wtedy jednak pled miękko się rozleciał i jedna połowa z głuchym stuknięciem spadła na ziemię. Colm od razu upuścił drugą, ponieważ obaj zorientowali się, że to, co odkryli, nie było płaszczem czy pledem, lecz zasuszonymi ciałami dwóch młodych irlandzkich glen of imaal terrierów.

– A to są psiaki tej rodziny, idę o zakład – powiedział Declan. – Jezu, ten ktoś nikomu nie przepuścił, no nie? Aż dziw, że złotej rybki nie ma.

Włosy dorosłych były gęste i zakurzone, więc nie od razu było wiadomo, co ich spotkało, lecz po głowach niemowlęcia i dziewczynki Declan i Colm zorientowali się, w jaki sposób rodzina zginęła. Wszyscy otrzymali jeden postrzał

w tył głowy, nawet szczenięta.

Declan się przeżegnał.

– Lepiej dzwoni na policję – zwrócił się do kolegi.

Ten skinął głową i wyjął z kieszeni koszuli telefon komórkowy. To, co odkryli, do głębi nimi wstrząsnęło. Członkowie tej przysypanej kurzem rodziny jak gdyby spali, niczym postacie z baśni. Declan zdziwił się, że ich widok go nie przestraszył, a tylko zasmucił. Zdawało mu się, że ich znał, mimo że prawdopodobnie złożono ich pod deskami na długo, nim się urodził. Nie cuchnęli – w każdym razie on tego nie wyczuwał – lecz Christy na pewno wywęszył zapach rozłożonych ludzkich zwłok, nawet jeśli miały dziesiątki lat, i dlatego nie chciał wejść do domu. A może jest psim medium i kolega miał rację, wspominając o duchu. A raczej o duchach w liczbie mnogiej.

Colm dodzwonił się pod numer 112.

– Zgadza się – mówił. – Millstream Row, Blarney. Tak, tuż za fabryczką. Łatwo znajdziecie, bo dokładnie naprzeciwko stoi zielony kontener od O'Briena, średniej wielkości. Nie, nic nie będziemy dotykali. Nie. Jeżeli jacyś są, to muszą mieć teraz ze sto dziesięć lat, więc nie wydaje mi się. Nie. Dzięki.

Kiedy skończył, wyszli przed dom. Colm wyjął paczkę papierosów i poczęstował kolegę. Zapalili i stali obok kontenera.

– Powiedzieli ci, kiedy będą? – spytał Declan.

– Za piętnaście minut, nie wcześniej. Posterunek Gardy na placu jest teraz nieobsadzony.

– Co im tam gadałeś, że ktoś ma sto dziesięć lat?

– Gość przy centralce zapytał, czy ten, kto ukrył ciała, może się jeszcze czaić gdzieś w okolicy. Wiesz, chodziło mu o to, czy nic nam nie zagraża, skoro odkryliśmy jego robotę.

– Józefie święty, a powiadają, że to kryminaliści są tępi.

– Nie, to nie jego вина, nie mówiłem mu, jak stare są te

ciała. No bo nie wiemy, ile mają lat. Powiedziałem tylko, żeśmy znaleźli parę osób i że wyglądają na zastrzelonych.

– Więc jesteś trzy razy bardziej tępy niż on. Tych ludzi ktoś zastrzelił w czasach, kiedy jeszcze nie wynaleziono karabinów.

W zwykłych okolicznościach przekomarzali by się dalej, lecz teraz zapadli w milczenie, kurzyli papierosy i przytupywali nogami, żeby się rozgrzać. Christy, mimo że nadal się trząsł, stał przed otwartymi drzwiami i zaglądał do domku, przekrzywając z ciekawością łeb; prawie jakby oczekiwał, że ktoś zawoła go ze środka.

Po paru minutach zza zakrętu obok przedzalni wynurzył się rozpędzony biały radiowóz z migającymi niebieskimi światłami. Tuż za nim sunął drugi, a dalej jechał niebieski ford focus. Drzwi zaczęły trzaskać jedne po drugich.

– Zdajesz sobie sprawę, że będziemy we wszystkich gazetach – powiedział Declan, kiedy zbliżyło się do nich dwóch mundurowych.

– Byleby tylko mojego adresu, kuźwa, nie wydrukowali – odparł Colm. – Bo nie chciałbym, żeby ta dupiasta Blathnaid zaczęła mnie ściagać o alimenty.

Rozdział 2

Detektywi Aislin O'Connell i Gerry Barry siedzieli w budce na pchlim targu Matki Jones od samego otwarcia i zarobili dotąd sześćdziesiąt siedem euro za dwie lampy stołowe nie od pary, trzy sukienki balowe, różowy gorset i plik starych numerów „Ireland's Own”.

Było kwadrans po trzeciej, a Denny Quinn, podejrzewany o przestępstwo młody mężczyzna, na którego czekali, wciąż się nie pokazał. Detektyw O'Connell znalazła czas na to, by pomalować paznokcie turkusowym lakierem, detektyw Barry zaś pięć razy wychodził na York Street, żeby zapalić; obojgu przyszło na myśl, że ich informator albo się pomylił, albo wodził ich za nos. Ostatnio coraz częściej dostawali fałszywe cynki i wyglądało to tak, jakby ktoś rozmyślnie trwonił ich czas.

W pewnej odległości od straganu, w ukrytym zaułku Little William Street, obok biegnącej stromo York Street, stał radio-wóz z dwoma mundurowymi; detektyw Barry utrzymywał z nimi łączność za pomocą nadajnika radiowego i słuchawki w uchu. Z początku kontaktowali się regularnie, lecz w miarę upływu czasu coraz częściej słyszał ich ziewanie i skargi, że chce im się sikać.

Barry zerknął na zegarek.

– Siedzę tu i czuję się jak ćwok. Zakład, że gość się nie pojawi.

Wyglądał młodo jak na detektywa, aż zbyt młodo; miał zaczesany do góry czub blond włosów jak komiksowy Tintin i płaski nos. Niewiele od niego starsza detektyw O'Connell była niewysoka, pulchna, miała ciemne włosy, ładną twarz w kształcie serca oraz usta, których jasna czerwień kojarzyła się z kolorem wstążki na prezencie urodzinowym.

To właśnie wygląd tych dwojga skłonił detektyw nadkomisarz Maguire do wybrania ich do tej operacji. Mieli wyglądać jak typowi kramarze w hali targowej Matki Jones, młodzi i hipisowaci; dzięki temu mogli obserwować obiekt, nie budząc podejrzeń, że są policjantami, a później podejść do niego tak, by nie od razu go spłoszyć. Oczywiście pod warunkiem, że ten w ogóle się tu zjawi.

O'Connell rozpostarła palce, żeby spojrzeć z podziwem na swoje paznokcie.

– Może transport nie dotarł – zasugerowała. – Albo ktoś dał im znać.

– Jasne, zawsze jest taka możliwość – odparł Barry. – Owszem, kazaliśmy celnikom przymknąć oko, ale skoro Billy Duffy wiedział, że fajki nadchodzą, i znał termin, to nie mów mi, że nie wiedziała o tym cała zgraja innych szumowin. Może dorwali je ci z Óglaigh na hÉireann, zanim Quilty je odebrał. A może go po prostu oskubali.

– Daj spokój, musiałyby im odwalić – zaoponowała detektyw O'Connell. – Wkurzyć Bobby'ego Quilty'ego, Jezus! To tak, jakby zapytać: „Hej, kolego, może zechciałbyś mi wpakować kulkę między oczy?”.

– Bo ja wiem... Ten Brendan Ó Marcaigh, myślę, że on nie cacka się z nikim ani niczym. Kiedyś pogonił go pitbul, a on złapał go za ogon i rozwalil mu łeb o latarnię.

– No pięknie.

Czekali jeszcze pół godziny. Na pchli targ przychodziło coraz więcej klientów, którzy krążyli między pomalowanymi na żółto, różowo, zielono i niebiesko żelaznymi słupami i wśród straganów. Barry spojrzał na koleżankę i uniósł brwi,

ale nic nie musiał mówić, bo dla obojga było jasne, że choć klienci biorą do rąk wazony, lalki i stare płyty winylowe, udając, że oglądają, żaden nic nie kupi.

Tuż po szesnastej w słuchawce Barry'ego odezwał się głos:

– Quinn przyjechał. Właśnie wysiadł przed halą.

Kilka sekund później Denny Quinn wszedł z dwiema wypchanymi czarnymi foliowymi torbami na śmieci. Był chudy jak tyczka i blady na twarzy, jego czoło usiane było czerwonymi bliznami po ospie. Wyglądał inaczej niż na ostatnio zrobionym zdjęciu policyjnym: jego rude włosy, ogolone po bokach, tworzyły czub jak u papugi; w obu uszach nosił złote ćwieczki, miał także kilka złotych łańcuszków i ciężką bransoletkę identyfikacyjną, również ze złota. Był w czerwonej koszulce z napisem *Cork GAA*, workowatych szarych spodniach i białych tenisówkach.

– Dresiarz we własnej osobie – rzekł Barry.

– Nareszcie – rzuciła O'Connell. – Billy Duffy mógł nam powiedzieć, kiedy gość się zjawi. Na pewno wiedział. Oni wszyscy tutaj wiedzieli. Fiut jeden.

– E, weź przestań. Billy Duffy nie umie jednocześnie myśleć i mówić, przecież wiesz.

Denny bez wahania przemykał między słupami, kierując się do tylnej części hali, gdzie było puste stanowisko ze stolikiem ze sklejk i krzesłem. Rzucił czarne torby na ziemię, pchnął je stopą pod stół, a następnie usiadł i otarł dłonią nos.

Prawie natychmiast sześciu czy siedmiu klientów szpera-czy zaczęło lawirować ku niemu. Różnili się od siebie: kobieta w średnim wieku z atramentowoczarnymi włosami, ubrana w ciasny zielony top z satyny; trzydziestoparoletni mężczyzna z ciemną brodą, w szarym garniturze od Marksa & Spencera; starszawy pan z włosami poprzetykanymi siwizną, w okularach z ciemnymi oprawkami i z zaczerwienionym nosem; dziewczynka w wieku szkolnym w obcisłych czarnych legginsach, z długimi ciemnymi włosami i oczami podkreślony-

mi czarną kredką. Była również kobieta w granatowym kombinie sieci sklepowej Dunne's Stores oraz tęgi mężczyzna w dżinsowej kurtce poplamionej farbą, bez przednich zębów, wyglądem przypominający polskiego budowlańca.

Pani w średnim wieku powiedziała coś do Denny'ego, po czym wyjęła portfel i wręczyła mu pięćdziesiąt euro w zwiniętych banknotach. Denny odchylił się na krzeselku, wcisnął pieniądze do kieszeni dresu, a następnie sięgnął do jednej z czarnych toreb i wyciągnął dwie żółte paczki z dwustoma papierosami. Kiedy położył kartony na stole i je pchnął, detektyw O'Connell uniosła iPhone'a i marszcząc brwi, zaczęła stukać w ekranik, jakby pisała wiadomość tekstową; w rzeczywistości nagrywała transakcję.

Dziewczyna z podmalowanymi na czarno oczami zapłaciła handlarzowi dwadzieścia pięć euro; dała mu pomiętego dziesiątaka i garść bilonu. Dostała za to jeden żółty karton, który wsunęła do podłużnej torby i zarzuciwszy sobie ją na ramię, szybkim krokiem wyszła z hali.

Detektyw Barry nachylił się do koleżanki.

– Jeszcze jedna sprzedaż i powinno wystarczyć – powiedział cicho, patrząc w drugą stronę, tak by Denny nie zorientował się, że o nim mowa. – Przy jednej mógłby utrzymywać w sądzie, że zrobił komuś przysługę. Może nawet z dwóch by się wytłumaczył. Ale trzy to już prawidłowość.

Detektyw O'Connell nie odezwała się, tylko nagrywała dalej; trzydziestoparolatek z ciemną brodą dał sprzedawcy co najmniej dwieście euro w dwudziestakach.

– Jestem pewny, że kojarzę tego facia – odezwał się Barry. – On chyba pracuje w biurze obrotu nieruchomościami przy Marlborough Street... Jak ta firma się nazywa? Callaghan Screws albo coś w tym guście... Tak czy siak, wygląda na agenta od nieruchomości.

Sprzedawca wyjął cztery żółte kartony i położył je na stole. Detektyw O'Connell chciała wstać, lecz Barry ją powstrzymał.

– Jeszcze nie. Zaczekaj, aż koleś weźmie to do ręki.

Trzydziestoparolatek z brodą wyjął z kieszeni kurtki zwinętą torbę z Tesco i rozprostował ją. Gdy tylko ją uniósł, detektyw Barry powiedział:

– Już. Idziemy. Byle spokojnie. – Do mikrofonu zaś rzucił: – Teraz go zgarniamy, dobra?

Dwoje policjantów wstało i wolno ruszyło w stronę wnęki w tylnej części hali, udając, że rozmawiają. Denny nawet ich nie zauważył, kiedy się zbliżali. Był na wpół odwrócony; właśnie obsługiwał starszego pana z potarganymi siwiejącymi włosami, noszącego okulary w grubych oprawkach.

Barry wsunął rękę pod kurtkę z tyłu i dotknął przyczepionych do paska kajdanek.

– Dobra, więc teraz tak, jak ćwiczyliśmy – powiedział do koleżanki, kiwając głową i uśmiechając się, jakby opowiadał żart, który wczoraj usłyszał. – Ja go łapię i obrączkuję, ty wygłaszasz pouczenie i ruszamy do drzwi. Musimy go stąd zabrać szybko, tak żeby nikt nie zajarzył, co jest grane, dopóki nie będziemy daleko.

Detektyw O’Connell uśmiechnęła się.

– Jestem z tobą, Gerry, nie bój nic.

Byli już prawie przy wnęcie, Denny tymczasem grzebał w jednej z czarnych toreb; chciał wyjąć następne kartony papierosów. Trzydziestoparoletni agent nieruchomości z brodą odszedł od stoiska i właśnie wpychał ostatni karton do torby z Tesco. Kiedy mu się to udało, uniósł głowę, zobaczył Barry’ego i jego twarz się rozjaśniła.

– Patrzcie, umarli zmartwychwstają! – Wyszczерzył zęby w uśmiechu. – Co pan tu porabia, detektywie Barry? Skradzionych rzeczy pan szuka, tak?

Denny obrócił się momentalnie i zobaczył Barry’ego i O’Connell, którzy zmierzali ku niemu między straganami. Zerwał się nagle, jakby siedział na sprężynie.

– Detektywie, udało wam się przyskrzynić tego typka, który kradł depozyty? – spytał agent, nie zdając sobie spra-

wy, co się dzieje, i wciąż się uśmiechając. Barry rzucił się ku Denny'emu, ten jednak pchnął agenta nieruchomości w klatkę piersiową, tak że ten się zatoczył i wpadł bokiem na wystawę pełną książek, płyt i używanych torebek.

– Hej, co jest, kurwa?! – krzyknął, lecz gdy odzyskiwał równowagę, Barry odepchnął go w drugą stronę i mężczyzna runął, strącając z regału wazon i sześcioczęściowy serwis do herbaty. Na ziemię posypał się deszcz kawałków porcelany i fioletowego potpourri.

Denny zrobił unik i czmychnął między słupy, jednocześnie przewracając w stronę Barry'ego krzesła antyki i kopiąc kartonowe pudła. Figurki religijne, popielniczki i inne bibeloty poleciały na posadzkę. Właściciele straganów pokrzykiwali z oburzeniem, lecz nie rozumieli, co się dzieje, i żaden nie próbował powstrzymać sprawy zamętu.

Detektyw O'Connell nie rzuciła się w pogoń za Dennyem, tylko ruszyła od razu w stronę wyjścia, żeby odciąć mu drogę ucieczki. Kiedy zbliżał się do drzwi, pchnął stojak obwieszony używanymi płaszczami i kapeluszami i wszystko upadło przed Barrym. Odwrócił się i zobaczył O'Connell, która zagradzała mu wyjście na ulicę, stojąc z rozpostartymi ramionami niczym bramkarz na boisku.

Barry przeskoczył stojak z ubraniami.

– Przystopuj, chłopak! Jesteś zgarnięty!

Denny zatrzymał się z uniesionymi rękami, lecz głowę trzymał opuszczoną i stał plecami do detektywa.

– Odwróć się! – rozkazał Barry. – Ręce przed siebie.

– Niby za co? – spytał chłopak. – Nic nie zrobiłem. Sprzedałem znajomym parę szlucgów, to wszystko.

– Powiedziałem: odwróć się i wyciągnij ręce.

Chłopak zaczął się obracać, lecz gdy Barry podchodził do niego z kajdankami, okręcił się ku detektyw O'Connell. Bez chwili zawahania chwycił ją lewą ręką za włosy, a jego prawa ręka śmignęła ukosem obok jej twarzy. O'Connell w pierwszej chwili nie wiedziała, co się stało, lecz raptem

z jej lewego policzka trysnęła jasnoczerwona krew. Wciągnęła powietrze i uniosła rękę; krew zalała jej nadgarstek i przemoczyła rękaw jasnoniebieskiej bluzki. Policjantka zatoczyła się w tył i opadła na kolana.

Barry złapał Denny'ego za rękę, ale ten zdołał ją wyrwać i wypadł przez otwarte drzwi na York Street.

Detektyw kucnął obok koleżanki i otoczył ją ramieniem. Przyciskała dłoń do policzka, spomiędzy jej palców kapłała krew. Mimo to machnęła wolną ręką.

– Leć za nim, na litość boską! – wykrztusiła.

Z głębi hali nadbiegały dwie kobiety, żeby udzielić jej pomocy, więc Barry zostawił ją i wyskoczył na zewnątrz. Spojrzał w lewo, lecz Denny nie biegł w górę do Wellington Road; poza tym z powodu stromizny nie zdołałby dotrzeć na sam szczyt wzniesienia. Musiał więc skręcić w prawo i pobiec MacCurtain Street.

Barry dobiegł do rogu ulicy i znów rozejrzał się w prawo i w lewo. Między przechodniami na MacCurtain mignęła mu czerwona koszulka Denny'ego; chłopak akurat mijał sprintem tawernę Dana Lowery'ego; zmierzał do Brian Boru Street. Tym sposobem dostanie się do mostu Brian Boru i na drugą stronę rzeki Lee, a jeśli dotrze do śródmieścia, łatwo wmieści się między ludzi robiących zakupy w piątkowe popołudnie i umknie pogoni. Barry ruszył za nim biegiem, wywołując przez radiotelefon dwóch mundurowych, którzy czekali na Little William Street.

– Quinn zaatakował detektyw O'Connell i nam prysnął. Zwiewa teraz MacCurtain, kieruje się ku wschodowi.

Zrobił jeszcze kilka kroków i usłyszał jęk włączanej syreny policyjnej. Mam cię, Denny, pomyślał. Kiedy jednak dotarł do pomalowanego na niebiesko budynku LeisurePlex na rogu Brian Boru, dźwięk syreny wciąż dochodził z daleka. Odwrócił głowę i zobaczył, że zza zakrętu wyjechało na York Street musztardowe volvo i zatrzymało się. York Street była jednokierunkowa, więc kierowcy volva najwy-

rażniej chodziło o to, by radiowóz nie mógł zjechać i skręcić w MacCurtain.

Barry spojrział na wprost i zobaczył, że Denny przecina jezdnię przy St. Patrick's Quay i zmierza do mostu Brian Boru.

– Coś was zatrzymało? – spytał przez radio. – On już się przedostaje na drugą stronę rzeki. Nie chcę, żeby wsiąkł na dworcu autobusowym albo w centrum handlowym.

– Jakiś burak zatarasował nam ulicę i nie chce, kurde, ustąpić. Mulliken wysiadł, mówi mu, żeby się przesunął, ale tamten kłóci się jak jasny gwint.

– O Jezuu, aresztujcie go. Albo zepchnijcie z drogi. I zorientujcie się, czy na Pana są jacyś mundurowi, którzy mogą mi dać wsparcie. No już, migiem! Widziałeś Denny'ego. Nosi koszulkę Rebel County i szare spodnie od dresu. Kudły mu sterczą jak grzebień u koguta.

Ulicą sunęły samochody, a piesi mieli czerwone światło, lecz detektyw Barry wkroczył na jezdnię i zygzakiem pokonał St. Patrick's Quay. Zatrąbił na niego autobus i dwa auta osobowe.

– Chcesz się zabić, fiucie?!

Denny był już prawie w połowie mostu, ale zwolnił; wyraźnie brakowało mu tchu w płucach. Barry natomiast nigdy nie był w lepszej formie; kiedy tylko mógł, grał w futbol irlandzki i regularnie ćwiczył w siłowni. Oceniał, że nawet jeśli radiowóz nie nadjedzie w ciągu trzech lub czterech minut, i tak ma spore szanse na to, by dogonić Denny'ego, zanim ten dotrze do dworca lub centrum handlowego Merchants Quay. A wtedy go capnie i dokopie mu za to, że ciachnął nożem Aislin. Zawsze może się powołać na to, że musiał użyć siły, bo podejrzany stawiał opór.

Chłopak tymczasem doszedł do krańca mostu, lecz Merchant Quay jechało tyle samochodów, że stał na krawężniku i nie mógł przejść na drugą stronę. Barry musiał ominąć dwie kobiety z wózkami i bardzo otyłego mężczyznę

na wózku inwalidzkim obwieszonym torbami na zakupy, ale był już pewny, że ma Denny'ego. Ponieważ jednak patrzył przed siebie, nie zwrócił uwagi na srebrnoszarego land rovera, który sunął pomału mostem, dotrzymując mu kroku i blokując samochody, które za nim jechały.

Na sześćdziesięciometrowym moście pieszych oddzielały od jezdni stalowe poręcze i masywne elementy konstrukcyjne mostu, który pierwotnie podnosił się, żeby mogły pod nim przepływać statki. Jednakże stalowe poręcze nie biegły do samego końca. Kiedy Barry dotarł na drugą stronę i poręcze się skończyły, silnik land rovera nagle ryknął. Z głośnym łośkotem przedniego zawieszenia wdarł się na chodnik, skręcił i uderzył w niego, przygniatając go do balustrady.

Barry miał wrażenie, że tuż za jego plecami eksplodowała bomba i go rozerwała. Land rover zgruchotał mu nogi i rozłupał miednicę. Mimo że nie jechał szybciej niż pięć kilometrów na godzinę, przygwoździł go do balustrady z takim impetem, że brzuch pękł, wnętrzości wylały się na niebiesko-białe żelazne belki i zawisły zwojami nad płynącą w dole rzeką.

Detektyw był tak oszołomiony, że prawie nic nie czuł, a kiedy samochód cofnął i zjechał na jezdnię, z posępną zacięłością chwycił się górnej balustrady. Nie mogę spaść, myślał. Jeśli wypadnę za barierkę, umrę. Widział rzekę i budynki, most Świętego Patricka, niebieskie letnie niebo i chmury. Słyszał szum jadących pojazdów i krzyk kobiety. Co mam teraz robić? – zastanawiał się. Wtedy usłyszał, że ktoś się do niego odzywa, a gdy zdołał odwrócić głowę, zobaczył, że obok stoi mężczyzna z siwymi włosami i zaczerwienioną twarzą. Wydzielał mocny odór stęchłego piwa.

– Tylko spokojnie, chłopcze – powiedział nieznajomy, ale jego głos był bardzo stłumiony. – Wszystko będzie cacy i w ogóle, tylko się nie ruszaj. Ktoś zadzwonił już po karetkę, dobra? Żebyś tylko się nie ruszał.

Raptem niebo zaczęło ciemnieć.

– Jest noc? – wyszeptał detektyw Barry. – Tak jakoś mnie wykończyło. Chyba się muszę położyć.

Rumiany mężczyzna złapał go pod pachą, żeby pomóc mu ustać na nogach.

– Będzie cacy i w ogóle, tylko się nie ruszaj. Wplątałeś się w barierkę jakby, rozumiesz? Jeśli się ruszysz, rozerwiesz się na kawałki.

Barry zamknął oczy. Nie wiedział, czy umarł, czy tylko śpi, słyszał jednak głosy i samochody, doszedł więc do wniosku, że nie może być martwy.

Większość głosów dobiegała z bardzo daleka, lecz nagle usłyszał kogoś, kto mówił mu prosto do ucha; czuł jego oddech.

– Synu, nazywam się ojciec O’Flynn, jestem z kościoła Świętej Trójcy.

– Nie daj mu uciec, ojcie – powiedział detektyw Barry i z obu kącików jego ust wysączyła się krew.

Poczuł, że jego czoła dotykają śliskie palce. Usłyszał słowa ojca O’Flynn:

– Przez to święte namaszczenie niech Pan w swoim nieskończonym miłosierdziu wspomóż cię łaską Ducha Świętego. Pan, który odpuszcza ci grzechy, niech cię wybawi i łaskawie podźwignie.

Usłyszał także syreny. Rewelacja. Wsparcie wreszcie dotarło.

– Nie pozwólcie mu uciec – powtórzył. – Jest już teraz po drugiej stronie ulicy. Denny Quinn. Koszulka Rebel County. Nie pozwólcie mu uciec.